The Cure - Disintegration (1989)

1. Plainsong 2. Pictures Of You 3. Closedown 4. Lovesong play 5. Lullaby play 6. Fascination Street 7. Prayers for Rain 8. The Same Deep Water As You; 9. Disintegration 10. Unitiled

Musicians: Robert Smith – vocals, guitars, keyboards, 6-string bass, production, engineering
Simon Gallup – bass guitar, keyboards Porl Thompson – guitars Boris Williams – drums
Roger O'Donnell – keyboards

Expanding the latent arena rock sensibilities that peppered Kiss Me, Kiss Me, Kiss Me by slowing them down and stretching them to the breaking point, the Cure reached the peak of their popularity with the crawling, darkly seductive Disintegration. It's a hypnotic, mesmerizing record, comprised almost entirely of epics like the soaring, icy "Pictures of You." The handful of pop songs, like the concise and utterly charming "Love Song," don't alleviate the doom-laden atmosphere. The Cure's gloomy soundscapes have rarely sounded so alluring, however, and the songs -- from the pulsating, ominous "Fascination Street" to the eerie, string-laced "Lullaby" -- have rarely been so well-constructed and memorable. It's fitting that Disintegration was their commercial breakthrough, since, in many ways, the album is the culmination of all the musical directions the Cure were pursuing over the course of the '80s. --- Stephen Thomas Erlewine, allmusic.com

In one of music's longest and strangest careers, perhaps the most peculiar twist of all was that – after six years of bombarding the world with giddy, oddball pop – it was 1989's Disintegration which propelled The Cure to true global success. After all, this is an album of near relentless gloom, dark grey in texture and sprawlingly epic in structure. It's not exactly Automatic for the People.

Its three million sales can partly be put down to the ferocity of their 80s fanbase, but mostly to its singles. The sexual-revulsion nightmare of Lullaby was the strangest of the three, but its sticky strings and peculiar addictiveness smuggled it into the UK top five. Pictures of You was more conventional, a glorious widescreen epic which Bono would have eaten his firstborn to write, while the downbeat but insidious Lovesong (written for Robert Smith's new bride, surely the most sullen wedding gift in history) even wormed its way into the hearts and top two of the USA.

But the singles are like the prettily twinkling peaks of icebergs, and the gloomy power of Disintegration is truly revealed in the vast slabs of synth-soaked, spectrally dense introspection beneath. Opening with the whimpering, windswept loneliness of Plainsong, and taking in the snarling, bass-driven misanthropy of Fascination Street and the shuddering, incantatory misery of Prayers for Rain, Disintegration is like taking a long bath in someone else's despair, and finding it cathartically enjoyable.

It is, of course, a touchstone goth album, with its relentless death imagery, dramatic sweeps of synth and eight-minute drowning-metaphor symphonies; but such is its single mindedness of intent and vanquishing beauty that it somehow avoids risible self-indulgence. And at its very peak – in the unbearably sad, hypnotically shimmering lament of The Same Deep Water as You and the raging tour of emotional destruction that is the title-track – no other album has ever matched its morose magnificence.

This being a deluxe reissue, there are the obligatory demos, live versions and out-takes. But although it's interesting to see how fully developed songs like Prayers for Rain were before Smith even took them to his bandmates, and the madcap B side Out of Mind deserves another chance to be heard, none of the extras rival the terrible beauty of the main feature. A beauty which has only deepened with 21 years and the knowledge that Robert Smith would never again be as ambitious, inspired and creatively courageous. ---Jaime Gill, BBC Review

Czy muzyka może być lekarstwem dla "obolałej" duszy? Czy emocje w niej zawarte mogą do złudzenia przypominać własne odczucia, myśli i pragnienia? Czy wreszcie słowa z niej płynące mogą być dźwiękowym odpowiednikiem pamiętnika? Jest tylko jedna odpowiedź na wszystkie te pytania. Odpowiedź twierdząca. Odpowiedź podparta muzycznym dowodem... Trudno zresztą się temu dziwić, gdy już sama nazwa zespołu jest specyficznym rodzajem Lekarstwa...

To nie czas i miejsce, by raz jeszcze przypominać o wyjątkowym miejscu The Cure w krainie rocka. Takie wspominki byłyby dla wielbicieli tej grupy banałem, zaś przeciwnicy na pewno i tym razem nie uwierzyliby, że "Pornography", "Faith" czy "Disintegration" to jedne z najoryginalniejszych muzycznych dzieł lat osiemdziesiątych. Wielka trójka... Pełna smutku i przejęcia trylogia (oczywiście traktowana dość umownie, termin "trylogia" oznacza w tym przypadku najlepsze płyty). Dźwiękowy portret ludzkiego życia... Nie mogłam przejść obojętnie obok tego zespołu. Nie po tym, jak usłyszałam "Disintegration".

To był pierwszy album Lekarstwa, z którym się zetknęłam. Wcześniej znałam ich tylko z pojedynczych piosenek (nieśmiertelne "Boy's Don't Cry"), a poza tym jakoś tak bardziej ciągnęło mnie w stronę cięższego uderzenia. Jednak już pierwsze przesłuchanie wywołało u mnie coś na kształt szoku. Było tam wszystko to, co w muzyce kocham najbardziej - piękno, smutek, poczucie osamotnienia. Totalna dezintegracja... The Cure urzekło mnie swą niezwyczajną zwyczajnością, wręcz prostotą. Bo przecież ich kompozycje nie są jakoś szczególnie zawiłe i skomplikowane - przeciwnie, konstruowane są przy pomocy tradycyjnych rockowych instrumentów (ten fantastyczny bas - choćby w "Fascination Street"), łatwych do zapamiętania schematów muzycznych. A jednak właśnie ta prostota podnosi ich twórczość do miana sztuki. Bo choć grać w ten sposób mogło wielu, to jednak nikomu nie udało się wykreować tak przejmującej atmosfery. Atmosfery pełnej jakiegoś przenikliwego chłodu i przeraźliwie szczerego smutku. No i te teksty (może raczej poezja) - opowiadające o niespełnionych nadziejach, przemijaniu, utraconych uczuciach ("Last Dance", "The Same Deep Water As You", "Pictures of You"). Do tej układanki koniecznie należy dołączyć niesamowity dramatyzm i charyzmatyczny, pełen ekspresji wokal Roberta Smitha. W tytułowym kawałku "wyrzucany" tekst bardziej niż śpiew przypomina słowa wypowiadane pod wpływem danej chwili, pod wpływem jakiegoś zdarzenia (jak sugeruje tytuł niezbyt przyjemnego). Przez długi czas nie byłam w stanie słuchać dwóch ostatnich kawałków z "Disintegration", wydawało mi się bowiem, że psują one nieco dramatyzm wykreowany przez utwór tytułowy. Dla mnie po czymś takim mogła nastać tylko cisza... Sam na sam z własnymi myślami... Jednak w końcu się przełamałam - "Homesick" i "Untitled" są tu po to, by rozpalić płomień nadziei. Bo mimo wszechobecnego zimna znaleźć można na "Disintegration" chwilowe przebłyski szczęścia i radości - choćby w dobrze znanym "Lullaby", czy w "Lovesong". Ten ostatni utwór to niby taka banalna, wręcz popowa piosenka (o wiecznej miłości!). A jednak jest w niej coś magicznego, niespotykanego. Bo przecież prostota to jeden z najlepszych atutów The Cure. Prostota utkana z arystokratycznego wdzięku.

"Disintegration" doskonale sprawdza się jako dźwiękowe tło do wieczornych spacerów po zatłoczonych ulicach (fascynacji?). To tak jakby ktoś jednym magicznym przyciskiem wyłączył odgłos świata. Zabiegani ludzie, szczęsliwe pary, nędzni żebracy, porzuceni kochankowie, bezimienne postacie... wszyscy oni biorą udział w przedstawieniu, są niczym marionetki, którym muzyka układa scenariusz. Brzmi tak, jakby była dźwiękowym odzwierciedleniem myśli i serca. Pełno w niej chłodu, ale i piękna. Pełno szczerości i zaangażowania. The Cure doskonale wiedzą jak to zrobić. Zaufaj i podążaj wraz ze mną na Ulicę Fascynacji... ---Margaret, rockmetal.pl

download (mp3 @320 kbs):

yandex mediafire ulozto gett bayfiles

back